

MAURITIUS

Janusz (Krawiec) Wiśniewski



MAURITIUS

Tak, mam na imię Józef.

Może rodzice mogli wybrać inne. Pewnie mogli — ale w mojej wiosce, jak to bywało (i bywa, zapewne, do dziś), o wszystkim decyduje wielebny ksiądz proboszcz. Nie kończył przecież fakultetów i nie zgłębiał teologii tylko po to, by nie mieć wpływu na swoje owieczki.

„Dokąd idziecie, barany?

Nie wiemy, panie kochany.

O celu naszego pochodzenia wiedzą ci z przodu.

A cóż my, panie kochany, my tylko barany.”

Ten wierszyk płacze mi się po głowie od czasów komuny. Czy i dziś, w tej polskiej politycznej rozpiardusze, nie brzmi aktualnie?

No więc — chciał, nie chciał — wybierając mi imię ze spisu najświętszych świętych, proboszcz przeznaczył mi Józefa.

Nazywam się więc Józef Furmaniak.

Mimo że urodziłem się na wsi, uwierzcie mi — nie jestem żadnym zakapiorem. W domu rodzinnym zawsze była bieda, odkąd pamiętam, ale ja się wybiłem. Zawdzięczam to przede wszystkim mojej matce — *świeć Panie nad jej duszyczką.*

Tak, wybiłem się. Uciekłem z wiochy i z wielkim, naprawdę wielkim trudem ukończyłem studia. Znalazłem dobrą pracę i całkiem szybko dostałem przydział na kawalerkę w kolejowym bloku.

Popierany przez partię, do której wstąpiłem jeszcze na studiach, szybko zacząłem piąć się po szczeblach kariery. Aż w końcu zostałem dyrektorem jednego z większych węzłów Polskich Kolei Państwowych. A kiedy w 1990 roku rozpoczęły się w Polsce przemiany, ja też — nie chcąc pozostać w tyle — przemianowałem się. Z dyrektora... na prezesa. Dziś, po latach, można by wiele opowiadać... Pisać książki o dekadach mojego dyrektorowania i prezesowania w PKP.

Oj, można by było.

Wszystko jednak skończyło się dwa lata temu — niestety, wraz z moim odejściem na emeryturę.

Obecnie na nic nie narzekam. No, może tylko na ten mój bebech i łysinę...A tak w ogóle, to jestem ciągle zdrowym, jurnym (mówią, że sprośnym) i , jak twierdzą niektórzy, niewyglądającym na swoje lata facetem.

Mam dużą emeryturę, parę działek jeszcze czeka na sprzedaż — i trochę forsy w bankach. Sami rozumiecie... przesuwając przez tyle lat... Wszystkie przetargi, jak pociągi przez węzeł kolejowy, musiały przejeżdżać przez mój gabinet.

Ale o tym — cicho, sza.

Chwałę się tu forszą, zdrowiem, jurnością. Ale przecież muszę wspomnieć o najważniejszym: od niespełna czterech lat jestem po raz drugi żonaty. Młodsza ode mnie o prawie trzydzieści lat była sekretarka — dziś jest moją żoną!

Kochamy się i żyjemy ze sobą bardzo szczęśliwie. Żeniąc się, mogę śmiało powiedzieć, że narodziłem się po raz drugi. To właśnie teraz, razem, balujemy i wypoczywamy na Mauritiusie.

Stać mnie na to!

Jeszcze w Polsce tak powiedziałem mojemu bratu, „świętemu” Stanisławowi Furmaniakowi, który ciągle dogorywa na jedenastu hektarach ojcowizny. Wypomniął mi: — *Gdzie cię lichy niesie? Lecicie aż na drugi koniec świata?! Ileż to musi kosztować?!*

I co z tego? — pomyślałem.

Jestem bogaty. Jestem kimś.

Mam tyle forsy, że pewnie nie zdołam jej wydać do końca życia.

Moja pierwsza żona też swoje dostała. Zostawiłem jej dom i materialnie zabezpieczyłem tak, że wystarczy jej na grube koperty dla Ojczulka z Torunia. I na tacę w kościele, z którego i tak prawie nie wychodzi.

Moi dwaj synowie, Arkadiusz i Miłosz (w ich przypadku żaden klecha już nie miał nic do powiedzenia w kwestii imion), pozakładali własne rodziny i zaczynają dowodzić na kolei. Poszli w ślady ojca. Ich życie — to ich życie.

Niepotrzebnie chyba przyznałem się, że jestem już na emeryturze.

— *Co nas obchodzi jakiś stary pierdziel? — powiecie.*

Tak, to prawda — cyferek mi się nazbierało co niemiara. Ale wierzcie mi — zdrowia i jurności pozazdrościłby mi niejeden młodzian.

Nowa, młoda żona — to najlepszy odmładzający eliksir.

Elizabeth mnie odmieniła!

Elizabeth — tak od chwili ożenku mówię na moją żonkę. Tak nakazałem mówić do niej rodzinie i przyjaciołom.

— Na mnie już też nie wołają tak jak kiedyś — Józek.

Teraz jestem George. Dżordż!

Bo — jak powiedziała moja młoda żonka — kiedy tylko tego nie sprawdzają, masz się przedstawiać i podpisywać jako George Foreman.

Nie żaden tam Józef Furmaniak. Pamiętaj!

— *Ja też nie jestem Elżbieta Motka. To było i minęło.*

Jestem Elizabeth. Z „h” na końcu. Elizabeth Mocca.

Tak Ela zdecydowała od razu po ślubie — a ja? No cóż, szybko wyraziłem zgodę.

A jak mam być szczerzy... nawet mi się spodobało to nowe imię i nazwisko.

George Foreman. Ho, ho!

I tak to George Foreman i Elizabeth Mocca, na Mauritiusie, przy trzydziestu pięciu stopniach Celsjusza, pławią się w oceanie i hotelowych basenach. W pięciogwiazdkowym resorcie jedzą lunchy i kolacyjki w wykwintnych restauracjach, w barach popijają wymyślne drinki, a wieczorami szaleją na dansingach. W zakapiernej Polsce — jak od jakiegoś czasu mówi o swoim kraju George — w tym samym czasie daje się we znaki zimowa zawierucha, a Pan Celsjusz z lubością tańczy wokół zera.

Może teraz, chociaż przez chwilę, przyjrzyjmy się bliżej Elżbiecie — vel Elizabeth.

Trzeba przyznać, że Elżbieta Motka, dziecię z kolejarskich bloków, z ojca maszynisty i matki — bodajże sprzątaczkii wagonowej — wyrosła na ładną, zgrabną pannę. I zapewne mogłaby złapać na swoją urodę nie tylko kogoś takiego jak prezes jednego z większych węzłów Polskich Kolei Państwowych.

Elżbieta ma długie nogi i równie długie, utlenione na blond włosy. Nie musi powiększać sobie ani biustu, ani ust, ani kości policzkowych. No, może mogłaby mieć odrobinę mniejszy nos.

Ale okulary... Nie tylko pozwalają Elizabeth widzieć lepiej — dalej niż dajmy na to, życie u boku starego Józefa (i Józef stary, i Józef stary... za chwilę Boże Narodzenie) — ale

odpowiednio założone, jakimś cudem (cuda, cuda ogłaszają...) potrafią maskować tę małą ułomność.

„*Nigdy nie będę jak matka — sprzątaczką!*” — przekonuje samą siebie przyszła Elizabeth, jeszcze na początku swojej skręcającej w dorosłość drogi.

Z trudem, ale ambitnie, popycha do przodu swoją edukację. Po prześlizgnięciu się przez technikum kolejowe, kończy jeszcze dwuletnie pomaturalne i jakimś trafem — albo może już z premedytacją — dostaje się na staż do sekretariatu samego Pana Prezesa jednego z większych węzłów Polskich Kolei Państwowych.

A że, idąc do pracy w sekretariacie, ubiera codziennie szpilki i miniówki...Czy coś jeszcze muszę dopisać?

Wróćmy na Mauritius.

Akurat Georges i Elizabeth podążają alejkami kurortu — szczęśliwa para, trzymająca się za rączki.

A właściwie: to George trzyma mocno dłoń Elizabeth.

Nie wyrwiesz mi się, nie wymskniesz — myśli, zaciskając palce jeszcze mocniej na dłoni młodziutkiej żony.

Zbliża się czwarty rok ich małżeństwa. Już po trzecim coś zaczęło zgrzytać, rdzewieć. Seks? To już nie te pierwsze lata — zauroczenia, namiętności, euforii.

— *Och! Daj mi dziecko! Daj! Och! Och! Ty mój...!*

Tak kiedyś krzyczała Elizabeth. Teraz ani nie krzyczy, ani nie jęczy, a tym bardziej nie bywa w siódmym niebie.

Wszystko jakoś za szybko zamieniło się w małżeński obowiązek.

A odkąd George jest na emeryturze i „zalega” w domu - ma stanowczo za dużo tego obowiązku!

Tak. To prawda. Elizabeth i George mają gosposię.

Jest to pani od sprzątanania i prania jego posikanych majtek, od prasowania koszul (a ten skurczybyk codziennie zmienia koszulę, choć na emeryturze!) — ale i tak George wymaga od Elizabeth za dużo.

Elizabeth nie jest przecież ani służącą, ani nałożnicą na zawołanie.

Już nie ma chęci, by obsługiwać go tak jak kiedyś. Wszystko to staje się dla niej obowiązkiem. A obowiązek...To zdecydowanie nie to, czego pragnęła.

Od życia spodziewała się czegoś więcej.

Czego? — pytała siebie nie raz, stojąc naga przed lustrem, rozczesując gęste, jasne włosy, obejmując lubieżnie swoje kształtne, wciąż jędrne piersi.

Czego ja właściwie chcę?

Miłości rozpalającej żar! Uwielbienia (jak na filmach!) dla kochanka...

A stary Józef?

Z nim teraz trzeba żyć.

Kiedyś, w obszernej, niemal stumetrowej sypialni ich penthousa w centrum miasta, Elizabeth bawiąc się przed lustrem sama ze sobą, doszła niespodzianie nie tylko do niesamowitego zapłonu (takiego jak kiedyś)...ale też do wniosku, że z samą sobą jest jej przyjemniej niż z tym... capem.

Coraz częściej Elizabeth nie może się pozbyć takich myśli.

Coraz częściej bywa wściekła na męża — i to o byle co.

Nawet tutaj, na Mauritiusie.

Dlaczego on mnie tak wkurwia? — myśli i dziś, wracając z hotelowego, wytwornego sklepu. Choć dziś — chyba wyjątkowo ma ku temu powód.

— Wszędzie szastasz pieniędzmi! Kelnerom, barmanom, pokojówkom zostawiasz takie napiwki! Rozdajesz forszę gdzie popadnie — a mnie żałujesz na torebkę! - wygarnia mężowi, wdzięcząc się przy tym nago, z wyraźną premedytacją, tuż przed wejściem pod prysznic.

George nie spuszcza z niej łakomego wzroku i przekomarza się.

— Kochanie, nie dam prawie dwóch tysięcy euro za trochę skóry ze świeącymi skuwkami. Cóż z tego, że to firmówka? Co mnie obchodzi jakiś tam *Luiz Vittą*? Ty wiesz, ile to w przeliczeniu na nasze?!

— Nie dasz? Nie dasz? To sama sobie zarobię! — rzuca Elizabeth, odwrócona tyłem do męża. Odpowiednio wypięta, niby masuje stopę, choć wcale nic ją nie boli.

George nie może się oprzeć - podgląda...Bezwiednie. Aż przykuca.

— Ty? Niby jak? Może... — przetyka ślinę, próbując się śmiać.

— Zobaczysz. Pożałujesz.

Ciągle masując stopy, wciąż wypięta w jego stronę, Elizabeth w końcu łagodnieje.

— Nalej mi whisky.

George nauczył ją pić.

Już od pierwszych randek wiedział, że najlepszy seks wychodzi im po paru kieliszkach szampana. Z czasem Elizabeth zaczęła sięgać po coraz mocniejsze trunki, żeby pobudzić chęci.

A tutaj, w kurorcie? Trudno nie pić od rana. Obojętnie gdzie przebywali, kelnerzy — jak cienie wśród palm — zawsze byli tuż obok, z kuszącą propozycją. Georges i Elizabeth, w pięciogwiazdkowym RAJU, od rana chodzą — na cyku.

Naturalnie, on z reguły bardziej niż ona.

Mija już piąty dzień balu na Mauritiusie.

— Jedzenie jest tu tak wyśmienite, że już się nie dopinam — mówi George, gładząc się po coraz większym bebecchu szykując się na kolację. Wciska się w białą koszulę i długie, czarne spodnie. Mędrkuje pod nosem, przeglądając się w lustrze.

— Co za czasy! Chamstwo! Szczególnie Polaczki. Mało który przestrzega tu reguł. Włażą do basenu bez optukania pod prysznicem. Nieogoleni, zarośnięci, przychodzą na kolację w T-shirtach i krótkich szortach. Zwróciłaś uwagę, ile sobie ładują na talerze? Aż cieknie im po łokciach! A widziałaś, żeby któryś zostawił napiwek? Żaden. A te wymagania!

— *Tu się nic nie dzieje!* — wykrzyknie teraz wkurzony czytelnik.

I... będzie miał rację.

Żeby nadać mojej opowieści właściwszy, ciekawszy bieg — chyba rzeczywiście powinienem wprowadzić parę nowych postaci.

O! Choćby tego czarnoskórego przystojniaka z basenu.

Kto choć trochę interesuje się sportem, rozpozna od razu: zawodowy koszykarz. Nie tylko wzrost — zapewne ponad dwa metry — ale zobaczcie, co on wyprawia w wodzie.

Bez piłki gra w kosza!

Wyskakuje prawie nad powierzchnię basenu, z wyciągniętą ręką i zgiętym nadgarstkiem markuje rzuty. Broni przed wyimaginowanym przeciwnikiem dostępu do nieistniejącego kosza. Gra sam ze sobą. Bez piłki. Robi to wszystko jakby bezwiednie, machinalnie. W końcu, dostrzegając, że jest obserwowany, opamiętuje się, zanurza w wodzie, płynie ładnym kraulem, przemierza basen kilkakrotnie — i... znowu, jakby mimo woli, wraca do wyimaginowanej gry.

Temu wszystkiemu z ogromnym zainteresowaniem przygląda się Elizabeth, leżąca tuż przy krawędzi basenu.

Tym razem sama.

Męża nie ma obok.

Dziś George nawet nie zszedł na śniadanie. Dogorywa w hotelowym łożu.

Leży na brzuchu i stęka.

Wczoraj, po paru whisky, zasnął na stońcu.

Teraz sino-czerwone bąble na jego plecach wystają spod leczniczego mazidła, niczym rydze spod leśnej ściółki.

Leży i kwiczy.

Po awanturze Elizabeth wycisnęła na jego plecy cały leczniczy preparat i — ubrana w skąpe bikini — trzasnęła drzwiami.

Teraz, rozciągnięta na leżaku przy basenie, obserwuje czarnoskórego.

Przystojniak...

Foremna, ogolona na tyso czaszka. Ładna twarz — jak nie Murzyn! Usta nie za duże, w sam raz do całowania. Ładny nos. Oczy lśnią jak dwa rozżarzone węgliki. A bicepsy? Klata? Ho, ho...

Czarnoskóry płynie pięknym, sportowym kraulem. Elizabeth zauważa, jak co chwila z wody wynurzają się jego pośladki i uda. Zapewne twarde... Nie może się powstrzymać od frywolnych myśli. *Ciekawe, jakby to było z Murzynem? Mówią, że oni mają dużego... Jeszcze by mi rozerwał* — myśli i odruchowo splata nogi.

Zobaczmy, co w tym samym czasie dzieje się z Georgem.

W hotelowym pokoju, gdzie dogorywa, jest również pokojówka — ta sama, której od pierwszego dnia Georges zostawia sute napiwki. Mimo obolałych pleców, stary już się szczerzy. Tym swoim zabójczym uśmiechem spod wąsa — tym samym, którym parę lat temu poderwał młodziutką sekretarkę. Już zagaduje, dowcipkuje na temat swoich poparzonych pleców. (Perfekcyjnie zna angielski. Ona również.) Podoba mu się: buzia hebanowej piękności, zgrabna figura, biust — że ho, ho...

Inteligentna. Wygadana.

Przystępna...?

Zaraz przyniesie mu maść — zrobioną przez tubylców.

— Szanowny pan wyzdrowieje od razu — mówi. — Ja się na tym znam.

Georges ma wejść pod prysznic i to zmyć chemiczne świństwo, po którym można dostać raka.

Strumień wody obmywa jego rozpalone plecy.

I... rozpala zmysły.

Podsycą nadzieją.

W tym samym czasie, akurat przed Elizabeth, niczym korek od szampana, z pluskiem wystrzeliwuje z basenu koszykarz. Krople wody ochlapują jej ciało rozpalone słońcem.

Elizabeth — niby w gniewie — odkłada przywiezioną z Polski „Vivę” i ostentacyjnie zaczyna wycierać ręcznikiem biust, który właśnie wymknął się z uwięzi bikini.

— Oh! Excuse me, madame! — przystojniak przeprasza z szerokim uśmiechem, białym jak śnieg. Błyszczącymi oczami nie tylko lustruje blond lalunię, ale nagle zauważa okładkę polskiego czasopisma.

— O! Pani z Polska! Ja być w Polska trzy lat! W Gdynia, w Prokom, grać w basketball. Trzy lat! — mówi, pomagając sobie uniesionymi palcami.

Elizabeth po raz pierwszy w życiu trzyma swoją białą dłoń w męskiej, czarnej.

Silna dłoń długo nie wypuszcza jej delikatnej, kruchej, wymuskanej — tej, która od lat nie tknęła żadnej pracy.

Elizabeth nie przyznaje się, że chodziła na angielski.

Bawi ją polszczyzna tego dwumetrowego i jeszcze dwunastocentymetrowego koszykarza z Ameryki, który przez trzy sezony grał w Polsce. Ma na nazwisko Alexde i tubalny głos — dla niej od razu piękny.

Oboje zaśmiewają się teraz na cały basen, gdy on, po swojemu, polsko-amerykańsku, wymienia imiona dziewcząt, które poznał w Polsce:

— Kasssia, Tszesllawa, Irrrka...

— Good, good! Dobra ciewczyny! Miłosc, kochać, kurwa, kielbasa! Good! Dobra kochać!

Chwali się znajomością nie tylko polskich słów, ale i polskich dziewcząt.

Za niespełna dwadzieścia minut Elizabeth, skrycie, będzie podążała za Alexde do jego apartamentu, dziwiąc się niemal na głos samej sobie: *Jak on mnie namówił? Co ja wyprawiam?*

Elizabeth nie wie — i może nigdy się nie dowie — że kocha się z Alexde w jego apartamencie dokładnie piętro *nad* ich własnym.

A w ich apartamencie... pokojówka nie tylko ulży jej mężowi w bólu oparzonych pleców, ale zaoferuje coś więcej.

Po wszystkim Elizabeth śmiga w dół po schodach. Jeszcze raz wkłada dłoń w swoje skąpe plażówki — prawie stringi — żeby upewnić się, czy tam, gdzie powinno, wciąż tkwi sto euro - banknot, który na pożegnanie wcisnął jej czarnoskóry Alexde.

Na tych samych schodach, tyle że w przeciwnym kierunku, mijają ją pokojówka. Również sięga dłonią pod fartuszek. Sprawdza, czy w jej majtkach dobrze się ma sto euro. Banknot, który trochę nieporadnie — zębami — w ferworze erotycznych figli, wcisnął jej wniebowzięty George.

I co?

Czy naprawdę wprowadziliśmy do tej historii pokojówkę tylko po to, żeby „coś tam” zadziało się między nią a Georgesem? A może po to, żeby minęła się z Elizabeth na schodach?

Gdybyśmy umieli przetłumaczyć na język polski imię pokojówki z hotelu na Mauritiusie, imię dziewczyny jeszcze młodszej od naszej Elizabeth - to nasza pokojóweczka miałaby z polską na imię Jasmin.

Jasmin urodziła się dwadzieścia parę lat temu, tutaj, na wyspie. Tak samo, jak jej matka. I prababka. I praprababka.

Możliwe, że jej rodowód sięga jeszcze dalej — dalej niż odkrycie wyspy przez Portugalczyków w 1505 roku.

I kto wie, czy od tamtego czasu przodkowie Jasmin nie służyli kolejno Holendrom, Francuzom, Anglikom. Nawet po tym, jak Mauritius odzyskał niepodległość w 1968 roku, rodzice Jasmin wciąż pracowali w domu francuskiego przedsiębiorcy.

Jeszcze zanim Jasmin się urodziła, jej życie było już właściwie zaplanowane.

Szkoła podstawowa, potem jakieś liceum zawodowe, francuski, angielski.

Później — dzięki ciotce — dostała pracę w bardzo dobrym hotelu.

Zaczynała jako sprzątaczką, potem była podkuchenną, magazynierką. Teraz jest pokojówką.

To dobra posada.

Tu goście, oprócz poplamionych miłością prześcieradeł, zasranych, często zapchanych tamponami muszli klozetowych, zostawiają też i napiwki.

Jasmin, podobnie jak nasza Elizabeth jest bardzo ambitna. I chyba... nie wyjdzie za mąż za swojego ziomka, który nawet jest menedżerem! W jednej z lepszych restauracji w tym

kompleksie. Chociaż on kręci się koło niej niemal od jej dzieciństwa. On bardzo by chciał, bardzo zabiega o Jasmin, nawet ma zgodę jej rodziców, ale Jasmin... Chyba mu odmówi. Jasmin, przez cały czas marzy o ucieczce z wyspy - z tego RAJU, który nie jest dla niej.

Na razie, w wielkiej tajemnicy przed wszystkimi, Jasmin zbiera pieniądze. Wie już, ile kosztuje bilet z wyspy na kontynent, najchętniej do Europy. Zna języki, więc może do Francji, może do Anglii, a może do Niemiec? Do Europy! W Polsce chyba też jest... Ten starszy Polak... Widać, że jest bogaty, miły i szczodry. Jasmin musi o Polsce poczytać w Internecie. Na razie wszelkimi możliwymi sposobami zbiera i ciuła dolary, euro...

Ten Polak, George, powiedział, że jak się jeszcze parę razy spotkają i ona będzie się starać, to on kupi jej w prezencie piękną torebkę, taką najdroższą - od Louis Vuitton.

Jasmin potrafi. Już za pierwszym razem bardzo się starała. I przy pierwszej nadarzającej się okazji, powie temu Polakowi (naturalnie bardzo, bardzo delikatnie), żeby tej torebki jej nie kupował - wołałaby jednak pieniądze.

Do jednej z wielu dostępnych tylko dla hotelowych gości restauracji w komfortowym wypoczynkowym kompleksie na wyspie Mauritius, zmierzają na kolację, trzymając się za ręce, wyjątkowo zadowoleni z dzisiejszego dnia, Elizabeth i George. On nawet w cichości ducha przemyślał, czy czasem już nie kupić pokojówce tej torebki. A może kupiłby dwie? Od razu i dla żony? Natomiast na twarzy Elizabeth, idącej obok George, promieniał zagadkowy uśmiech Mony Lisy.

No i finto. Już koniec opowiadania.

Ale co? Nie jesteście ukontentowani?

Takie ładne imię miała ta Jasmin. Szkoda tej dziewczyny by ot tak, już teraz zniknęła. Ktoś z Was tak pomyślał?

- Ok. Z samej ciekawości zobaczymy, co dalej się z nią dzieje...

Jasmin. Zawsze lubiłem zapach kwitnących kwiatów jaśminu. Woń jaśminu niósł ze sobą zapowiedź czegoś niebiańskiego.

Po dziesięciu godzinach pracy w hotelu, Jasmin wraca do domu. Autokar jest nowy, komfortowy, z klimatyzacją. Odwozi całą grupę niemieckich turystów na lotnisko. Jasmin wciśnięta między walizki, które nie zmieściły się w schowkach na zewnątrz, chyba za chwilę zaśnie. Zmęczenie dniem pracy daje się we znaki. Już ma zamknięte oczy, ale jeszcze marzy. Kiedyś, już niedługo, jedna z walizek będzie należała do niej. To ją autokar

powiezie na lotnisko, a potem w świat. Jasmin ma zamknięte oczy i w marzeniach widzi teraz siebie. Widzi, jak dzisiejszy zarobek niedługo schowa do blaszanego pudełka. Kiedyś to pudełko pozostawili w pokoju, który sprzątała, jacyś francuscy turyści. Do dziś pamięta, że w pudełku był jeden owinięty złotem czekoladowy cukierek. Blaszane pudełko było cudne i natrętnie chwaliło się swoim pochodzeniem z tamtego pięknego, bogatego europejskiego świata. Teraz Jasmin dołoży tam setkę Euro. - *Ile to już będzie razem?* Może jutro, pojutrze też dołoży... Liczy i marzy.

Na początku chodzenia z tym swoim Aimirem, dużo starszym od niej synem sąsiadów i szefem w restauracji, Jasmin w miłosnym uniesieniu parę razy w stronę Aimira wymknęła się: „I love you”. Od tego czasu Aimir uważa ją za swoją własność! I Jasmin to dostrzega. Broni się przed tym. Im bardziej poznaje Aimira - tym bardziej gdzieś tam w głębi serca, nie godzi się na to. Jasmin dostrzega w swoim narzeczonym coraz więcej wad. Nieraz wydaje się jej, że się go po prostu boi.

- *Uciec, uciec od Aimira, od tego wszystkiego, od całej tej wyspy.*

Co to za facet ten Aimir? Wszedł, właściwie wślizgnął się nam w opowiadanie jak kuna na poddasze.

- *Kim jesteś ty, który upatrzyłeś sobie taką atrakcyjną dziewczynę? Tak, tak, wiemy, że mieszkasz po sąsiedzku, płot w płot z jej rodziną. Że jesteś menadżerem w ekskluzywnej restauracji i myślisz, że właściwie już jesteś mężem Jasmin. To wszystko wiemy, to prawda, ale czy nie powinniśmy poznać cię dogłębniej, by zrozumieć, by spróbować sobie jakoś wytłumaczyć wszystko to, co niedługo uczynisz?*

Kończy się pobyt w RAJU George'a i Elizabeth. Pozostał im jeszcze jutrzejszy dzień. W recepcji George załatwił, dopłacając jakieś tam pieniądze, by mogli przedłużyć sobie jutrzejszy pobyt w apartamencie nr 18 do godziny 21.00. Do czasu przyjazdu autokaru zawożącego ich na lotnisko wykorzystują ukrop słońca. Spalają się na brąz. Niech w Polsce zazdrośnicy zobaczą, jak oni wspaniale wypoczywali. Szczególnie ważne jest to dla Elizabeth. *Mieć hebanową cerę... Och!* Bardzo jej na tym zależy. Teraz rozciągnięta bezwstydnie na leżaku, w bikini, które już nie mogłoby być skąpsze, z zamkniętymi oczami osłoniętymi szklami słonecznych okularów, dopieka się, dopraża i w delikatne pogłaskiwanie brzegu przez fale oceanu, wkomponowuje strofy wiersza, którego kiedyś, kiedyś nauczyła się na pamięć: *Słońcu na wszystko pozwalam, gdy się opalam. Grzej mnie, pieść mnie, dotykaj. W każdą szczelinę wnika. Mocniej niech oczy mrużę, głębiej, po ciarki na skórze...*

I właśnie wtedy, George jakoś tak nerwowo zaczyna kręcić się, chodzić, podskakiwać koło jej leżaka, by w końcu, bąkając niby od niechcienia, przerwać tę jej poetycko-ideliczną sielankę:

– Wiesz, przejdę się. Wolę pobyć nad basenem, pod parasolem, w cieniu. Popytam w basenie, wolę niż tu na plaży.

– Powiedz od razu, że ciągnie cię do baru – przerywając półsenne rozmarzenie Elizabeth nie omieszkuje dogryźć mężowi.

– Przynieść Ci coś z baru, kotku? Drinka? – pyta chętny jak nigdy mężuś.

– Kelnerów to ja mam tu na pięczki. Potrzebuję mężczyzny! Młodego...

Ostatnich słów George już nie dostyszał. Spojrzawszy na zegarek, wystartował sprzed leżaka Elizabeth niczym junior, na zawodach lekkoatletycznych na setkę. Mając na sobie tylko kwieciste bermudy, George pędzi po gorącym piasku plaży. Jednak nie w kierunku ukrytych w rozłożystych palmach basenów i poprzyklejanych do nich barków... Ciekawe, co było w tym czasie gorętsze: rozpalony słońcem piasek, którego ledwie dotykały stopy George'a, czy też... Jego chęć spotkania się z, Jasmin?

Co za pytanie? Powinniśmy się wszyscy domyślić, że tak zachłannie jak Georges pożądat przygody ze śniadoskórą pokojówką – to nawet Elizabeth nie pragnęła torebki od Louisa Vittona.

Restauracja, w której pracuje Aimir, ma renomę. Piękne wnętrze we francuskim (Ba! Paryskim stylu!), wyśmienita kuchnia, świetna obsługa. Aimir pracuje tu prawie od dziecka. Przez te lata przechodził wszystkie szczeble kelnerskiej drabiny - by w końcu wspiąć się na sam szczyt. Menadżer.

Teraz w tej restauracji rozstawia po kątach sześciu mężczyzn i jednaście kobiet. Na codziennej odprawie wszyscy stają przed nim na baczność. Dwóch mężczyzn z szeregu to starsi kelnerzy. Rzeczywiście są starsi od niego. Jeden tak, że mógłby być nawet jego ojcem. Drugi o parę lat. Reszta pracowników to ciągle oblewający u Aimira egzaminy kelnerzy oraz ich pomocnicy. Im wszystkim pod szefostwem Aimira pracuje się ciężko. Ten charakter, usposobienie i nawyki Aimira... Woleliby innego szefa. Ilu tu już wyleciało z pracy? Dwie najmłodsze dziewczyny narzekają najbardziej. Wie o tym Jasmin, bo przy niej popłakiwały. Tak czy inaczej - w Polsce na typa z takim charakterkiem - bez wahania powiedzielibyśmy: kawał skurwiela.

Aimir zakochany jest w Jasmin po uszy - więc dla niej zrobi wszystko. Jest dobry, a w każdym bądź razie bardzo się stara.

– Ja pierniczę! Biedna dziewczyno! Uciekaj od niego! Uciekaj z wyspy! Uciekaj!

Dziś Aimir nie zrobił odprawy. Robić swoje! – zarządził. - Nie będzie mnie przez... – z nerwów struny głosowe odmówiły mu posłuszeństwa. Nie kończąc zdania, trzasnął drzwiami i wybiegł z restauracji.

Chociaż wyspa Mauritius, na której stoi hotel jest na stałe przywiązana promieniami do słońca i nagrzana jak stal przed hartowaniem, Aimir jak zwykle odsztyftowany jest na czarno. Wiadomo, takie są wymogi. Czarny garnitur jest jego drugą skórą.

Dochodzi południe. Co kieruje tym wysokim, kościstym, mężczyzną? Przeczucie, intuicja? Jego podejrzliwość? Czy to one popychają mężczyznę w czarni, by niezauważonym przez nikogo kluczyć, chować się po hotelowych zakamarkach, czaić się?

Parę minut przed dwunastą, Jasmin podjeżdża hotelowym wózkiem wypełnionym pościelą, ręcznikami, chemią i wszelakimi innymi akcesoriami do sprzątania, pod apartament nr 18. Umyślnie zastawia nim wejście i oglądając się niepewnie wokół, przez niedomknięte drzwi wślizguje się do środka. Aimir, od dawna podążając w ukryciu, krok w krok za narzeczoną, schowany jest teraz za korytarzowym winklem. Nie tylko widzi, jak Jasmin wcisnęła się do wewnątrz, ale nawet słyszy chrzęst zamykanego od środka zamka.

Aimir z ukrycia, widzi też, jak krótko, dosłownie chwilę przed Jasmin, do osiemnastki wbiega mężczyzna w bermudach w kwiatki.

Gdyby Aimir nie był z natury śniady, zapewne purpura jego twarzy byłaby widoczna z wyspy, aż na afrykańskim kontynencie. Jeszcze chwila i jego tętnice eksplodują. Aimir wie, że bez karty, nie otworzy tych drzwi. Tych, ale nie tarasowych. Biegnie więc na powrót korytarzem, ślizgiem pokonuje zakręt i wypada przez otwarte na oścież drzwi - na zewnątrz.

Przeskakując przez kwietne krzewy przebiega chyłkiem trawnik i...

Taras jest otwarty. Aimir na pewno wie, że taras należy do apartamentu numer 18. W głębi widać, przeszklone drzwi, zasłonięte od wewnątrz kotarą. Szczelnie zasłoniętą. Odbijające się w szybach słońce przeszkadza, nie pozwala, broni..., ale Aimir, przykładając dłoń do czoła, zagląda, wypatruje, niucha i w końcu dostrzega...

George i Jasmin. Jakby Wam to powiedzieć? Na pewno każde z was nie raz w życiu oglądało pornograficzne rysunki, zdjęcia, a może nawet i pornograficzne filmy? Prawda? No to wiecie lepiej ode mnie (bo ja nigdy takich bezceństw nie oglądam), co wyprawiają pod osiemnastką Georges i Jasmin!

Przez szpary niedociągniętej kotary Aimir właśnie to widzi i wodząc dookoła błędnym wzrokiem, spostrzega w rogu tarasu dwa foteliki i wiklinowy stolik. Łapie stolik w swoje

szponowate dłonie, wycofuje się aż na trawnik i niczym rozjuszony byk na arenie korridy, trzymając stolik przed sobą, z całą mocą rzuca się na szklane drzwi. Drzwi z trzaskiem rozwierają się do środka.

Dziwnie zaczyna pustoszeć hotelowa plaża. Ludzie coś wykrzykują, nerwowo gestykują i przyspieszając kroku, kierują się w stronę hotelowych apartamentów. Elizabeth unosi się z leżaka. *Zasnęłam? Co się dzieje? Czemu oni tam tak biegną?* Zbiera ręczniki i również zaciekawiona podąża w kierunku, skąd dochodzą odgłosy zamieszania. Najwięcej podekscytowanych, wykrzykujących coś do siebie ludzi, zebrano się wśród krzewów i palm rosnących na trawniku...przed tarasem apartamentu numer 18!

Nie było mnie tam, wśród tych wszystkich rozkrzyczanych, rozgorączkowanych gapiów. W jakikolwiek sposób nie próbowałbym Wam teraz opisać tego, co się wydarzyło w apartamencie numer 18. Bo wiem, że nie zrobiłbym tego dobrze.

Aimir, facet w czarni, menadżer ekskluzywnej restauracji na wyspie Mauritius, przyszły mąż pokojówki Jasmin musiał, od początku musiał dobrze zdawać sobie sprawę...

Takiego zmasakrowania ciał, pokojówki Jasmin i starszego turysty z Polski Józefa Furmaniaka, mógł dokonać tylko wyjątkowy furia, psychol.

Po walce z użyciem broni przez ochronę, w czasie obezwładniania Aimira, ledwie zdołano wyrwać z jego rąk kuchenny tasak.

Gdy, wśród przerażonych gapiów policja odprowadzała skutego kajdankami Aimira, gdy wynoszono zwłoki przykryte zakrwawionymi prześcieradłami, przyglądała się temu wszystkiemu, nie wierząc oczom, ostupiała Elizabeth.

Nie pytajcie mnie o to, co dalej się działo. Jeden płynie wniosek – RAJU na ziemi nie ma! Niech i Elizabeth uważa!

KONIEC

A może, ciągnijmy to dalej?

Całemu zajściu przyglądał się też czarnoskóry Alexde, który — zauważywszy wśród gapiów prawie mdlejącą Elizabeth...zrobił krok w jej stronę. A potem – drugi. Jeszcze jeden.

Co wydarzyło się później?

Nie wiem.

Może ktoś z Was się domyśla? Może ktoś z Was chciałby dopisać ciąg dalszy tej historii?

Bo może to wcale nie był koniec.

Może to był dopiero początek.